Zaspokojone pragnienie

Skończył był już dosyć dawno czterdziestkę i chociaż nie było to jakieś szczególne osiągnięcie, a wręcz przeciwnie – nie było w zasadzie czym się szczycić, to jednak tego był pewien i tyle posiadał. Oczywiście, nie można powiedzieć, że był dzieckiem szczęścia. Może „owocem miłości", ale na pewno nie dzieckiem szczęścia! „Dzieci szczęścia" bowiem nie żyją tak jak on i mają dużo więcej. On, oprócz tego że był trzykrotnie żonaty i tyleż samo rozwiedziony, miał jeszcze w „dorobku" po tych związkach trzy córki – każdą zresztą z innego. Wszystko to jednak, co posiadał, było tak samo nieudane i mało przydatne, jak on sam. A jedyna rzecz, która mogła to jeszcze jakoś zmienić – przynajmniej tak myślał – był syn! Jeszcze, co prawda, nienarodzony, ale tak bardzo upragniony, iż w końcu ta jedna jedyna myśl owładnęła nim całkowicie, stając się jego idee fix! Dlatego wszystko, co od tego momentu robił, było temu podporządkowane, tej właśnie myśli: *Mieć syna*! Ale żeby to pragnienie zostało spełnione, potrzebna była kobieta – przynajmniej jedna, jeżeli nie więcej, gdyby okazało się, że sprawy niespodziewanie zaczynają się komplikować. I, na psa urok, było więcej! Zmieniał je nie tyle nawet jak przysłowiowe rękawiczki, ale znacznie częściej – jak skarpetki! A te, tak się składa, zmieniał codziennie. Mógł nie myć nóg, ale skarpetki musiały być zmienione. Zawsze! I mimo, że brudne nogi nie są jakoś szczególnie niebezpieczne dla zdrowia, to on jednak co jakiś czas popadał w chorobę. Tyle że nie na jakąś nic nieznaczącą anginę czy grypę, znacznie gorzej – dopadała go jedna z tych sławnych chorób zaliczanych do tych wstydliwych, o których zwykle głośno się nie mówi. Więc on też się nią nimi nie chwalił.

Lecz myliłby się ten, który by pomyślał, że to go odstraszyło od realizacji swojego planu, wręcz przeciwnie – po każdym „dojściu do siebie”, to znaczy wyzdrowieniu, wstępowały w niego jakby nowe siły i wówczas jakby ze zdwojoną energią zaczynał znowu swoje poszukiwania tej jednej jedynej, wybranki nie tyle jego serca, co losu i przeznaczenia.

I stało się któregoś dnia, że w końcu osiągnął to, co zamierzał: znalazł ją! Wówczas zmienił się diametralnie. Kobiety, inne kobiety mogły przestać istnieć – tak bardzo były dla niego obojętne. I właściwie nie istniały! Liczyła się tylko ona – ta, która była dla niego wszystkim. Ba, więcej niż wszystkim, albowiem nosiła w sobie obietnicę tak długo i niecierpliwie oczekiwanego przezeń szczęścia: jego syna!

I gdy w końcu nadszedł ten dzień, ostatni dzień niecierpliwego oczekiwania, w którym miały się zakończyć wszystkie jego troski, zapoczątkowując tym samym nowe, spokojne i pełne szczęścia życie, nastąpił szok: upragnione dziecko przyszło na świat zdeformowane! Bez lewej rączki, podczas gdy prawa była jedynie kikutem do łokcia; nóżki natomiast… Nie! Pogodzić się z tym było ponad jego siły. Cały świat, który chciał zbudować – już budował! – nagle zawalił się jak domek z piasku, a wraz z nim on. I mimo wielu pomocnie wyciągniętych dłoni, nie pochwycił żadnej, odtrącił je wszystkie. Bez wyjątku. Nie potrzebował litości. Chciał być sam ze swym bólem i rozczarowaniem. Odizolować się od wszystkiego i wszystkich. Odejść w cień życia. Stoczyć się. I stoczył się. I nigdy już się nie podniósł. Skończył zapity w jakiejś melinie, w jakimś mieście, tak jak on teraz – bez nazwy i twarzy.

16.12.1990 r.